

O dzieciach i czarach w operze

AUTOR: DOROTA KOZIŃSKA

Teatr Wielki w Poznaniu przedstawił dyptyk operowy, zestawiając ze sobą dwa arcydzieła sprzed stu lat: *Dziecko i czary* Ravela oraz *Słowika* Strawińskiego.

■ Od pewnego czasu krąży w sieci słynne zdjęcie Alfreda Eisenstaedta z lat sześćdziesiątych, przedstawiające dziecięcą widownię Théâtre de Guignol w Paryżu. Jeśli wierzyć związanej z fotografią anegdocie, Eisenstaedt – kierując się nieomylną intuicją – uchwycił reakcję maluchów w kulminacyjnym momencie przedstawienia lalkowego, kiedy święty Jerzy zabija smoka. Przyszyty pod micheł chłopiec w cyklistówce zasłania uszy rękoma; siedząca za nim dziewczynka nerwowo obgryza palce; jej rówieśnica na pierwszym planie wrzeszczy jak opętana, nie wiadomo, czy ze strachu, czy z radości; dwójka szkrabów ubranych w idiotyczne, wiązane pod brodą czapeczki, zastygła w grymasie osłupienia; czarnowłosy okularnik z nadmiaru emocji złapał się za twarz; jakiś urwis odważył się wstać z miejsca i wyciągnąć ramię w triumfalnym geście.

Teatrzyk na Polach Elizejskich działa do dziś i niedługo stukną mu dwusetne urodziny. Dziś raczej uchodzi za atrakcję turystyczną i trudno oczekiwać, by grane taśmowo spektakle z udziałem marionetek wywoływały za każdym razem podobną reakcję, niemniej zdjęcie wykonane przez pioniera fotoreportażu powinno zawisnąć nad łóżkiem każdego reżysera, który zamierza wystawić sztukę dla dzieci. Ludzie teatru powtarzają jak mantrę, że dziecko jest odbiorcą szczerym i nie ukrywa swoich emocji, które przeżywa podobnie jak dorosły, ale nie musi ich jeszcze internalizować w odruchu podporządkowania obowiązującym normom społecznym. Innymi słowy, teatr dla dzieci musi być zrobiony równie

dobrze, a może nawet lepiej niż teatr dla dorosłych. Prawdziwie mistrzowski spektakl dziecięcy nie tylko przemówi do przedszkolaka, ale i w starym pryku obudzi dziecko wewnętrzne, wprowadzając go w równie głępkowaty zachwyt, jak paryskiego szkraba w śmiesznej czapeczce.

Wniosek? Tym trudnym rzemiosłem powinni się parzyć inscenizatorzy doświadczeni i obdarzeni wystarczająco bujną wyobraźnią, żeby ze sceny wiało magią, a widzowie, bez względu na wiek, nie wiercili się z nudów w fotelach. Polskie teatry operowe nieczęsto podejmują próby przyciągnięcia młodego odbiorcy, bo w realizacji tej kapryśnej i złożonej formy

oper, wcale nie najkrótszych i dość skomplikowanych narracyjnie? Warszawski TW – ON wystawił przed dwoma laty tylko *Słowika*, w reżyserii Aleksandra Pietrowa i w staroświeckiej, lecz ujmującej scenografii Władimira Firera – choć przedstawienie okazało się pod wieloma względami ułomne, publika, także dorosła, waliła drzwiami i oknami, żeby bezwstydnie chłonać uroku baśniowego sztafażu. Owszem, w teatrach na Zachodzie łączy się obydwie opery w dyptyki, dobrane jednak według innego klucza i skierowane raczej do starszego widza. Przykłady? *Dziecko i czary* i *Godzina hiszpańska* tegoż Ravela w reżyserii Laurenta Pelly'ego na festiwalu w Glyndebourne, ta sama opera

Na miejscu poznańskiego Teatru Wielkiego odłożyłabym na pewien czas do lamusa mniej udane *Dziecko i czary* i skupiła się tylko na *Słowiku*.

napotykać jeszcze większe trudności niż teatry dramatyczne. Żeby przedsięwzięcie miało choćby cień szansy na powodzenie, trzeba wybrać właściwą operę. A to dopiero początek.

Teatr Wielki w Poznaniu postanowił przedstawić dyptyk operowy, zestawiając ze sobą dwa arcydzieła sprzed stu lat: dwuczęściową fantazję *Dziecko i czary* Ravela oraz baśń muzyczną na motywach z Andersena, czyli *Słowika* Strawińskiego. Tu pojawiła się pierwsza wątpliwość – czy adresując spektakl do dziecięcej widowni, warto ją zmuszać do odbioru aż dwóch

zestawiona w Monachium z Karłem Zemlin-sky'ego (w reżyserii Grzegorza Jarzyny), *Słowik ożeniony z Dyrektorem teatru* Mozarta (spektakl Michaela Gielety z Santa Fe), a nawet próby łączenia baśni Strawińskiego z *Jolantą* Czajkowskiego, którą, co warto przypomnieć, Mariusz Treliński sparował niedawno z mrocznym *Zamkiem Sinobrodego* Bartóka i niedługo powtórzy ten *double bill* w nowojorskiej MET. Wszystko to jednak produkcje obwarowane ograniczeniami wiekowymi, zrealizowane zgodnie z nadrzędną myślą przewodnią, skie-

rowane do odbiorcy otrząskanego z konwencją operową. A przy tym, niezależnie od skutków artystycznych, konsekwentne w zamyśle i sprawne warsztatowo.

Trochę się uspokoiłam, obserwując reakcję dzieci na snującego się po foyer tancerza w przebraniu ślimaka, potem zaś śledząc ich zachwyt, kiedy się okazało, że programy obydwu spektakli zapakowano w przeszliczne torebki z kolorowego filcu, a w środku też same niespodzianki, od łamigłówek po rozkładany teatrzyk papierowy. Oby przez kolejne dwie godziny z okładem udało się zatrzymać uwagę młodego widza i skierować ją we właściwą stronę, pomyślałam sobie. Tandem realizatorów – złożony z Rana Arthura Brauna, młodego, wszechstronnie wykształconego muzycznie choreografa z Izraela, oraz włoskiego scenografa Justina C. Arientiego – który w ubiegłym roku odniósł zasłużony sukces inscenizacją *Cyberiady* Krzysztofa Meyera, ma duży kredyt zaufania u dyrekcji poznańskiego Teatru Wielkiego. Braun jest cenionym specjalistą od ruchu scenicznego i choreografii scen walki, asystuje reżyserom w najlepszych zachodnich teatrach operowych, próbuje też swych sił jako scenograf – obydwa z Arientim uchodzą za twórców ciekawych świata, otwartych na sugestie i obdarzonych dużym poczuciem humoru.

Zabrakło im jednak czasu bądź doświadczenia, żeby wgłębić się w niuanse Ravelowskiej fantazji o dojrzewaniu do uczuć wyższych, żeby zatrzeć znamioną rysę w *Słowiku*, który powstał z czystej fascynacji orientalizmem i atmosferą Baletów Rosyjskich Diaghilewa, a potem obrósł szeregiem innych inspiracji, które aż kipią w tej nie do końca spójnej partyturze. Przede wszystkim jednak zabrakło im pomysłu, jak spiąć te ogniwa wyrazistą klamrą stylistyczną, skutkiem czego obydwa dzieła sprawiają wrażenie, jakby wyszły z pracowni kilku różnych inscenizatorów. Jeśli już oceniać je osobno, zdecydowanie gorsze wrażenie zrobiło *Dziecko i czary*: zamiast klaustrofobicznego pokoju, w którym Mama przetrzymała niegrzecznego synka o suchej bułce i gorzkiej herbacie, dopóki nie zmądrzał, dostaliśmy ubożuchną scenę zastawioną kiczowatym białym fortepianem. Żadnych czarów, żadnej wyrafinowanej gry skalą rekwizytów, ani śladu grozy w budzących się do życia przedmiotach, za to nadmiar grozy w postaciach okaleczonych przez Dziecko zwierząt, które co wrażliwszym maluchom będą się odtąd śnić po nocach. Oraz kilka rozwiązań tyleż karkołomnych, co bezsensownych, choćby Arytmetyka odziana w obozowe

pasiaki, dla złagodzenia efektu – we wszystkich kolorach tęczy. Znakomitym pomysłem było rozproszenie „zwyczajnie” ubranych chórzystów po widowni (sama znalazłam się w grupie tenorów i dałam się zaskoczyć równie skutecznie, jak większość przedszkolaków) – niestety, niewykorzystanym w pełni jako narzędzie złagodzenia dystansu między sceną a widownią.

Lepiej wypadł *Słowik*, osadzony w przestrzeni pięknie malowanej światłem i uwypuklonej oszczędną scenografią, z dobrze poprowadzonym ruchem scenicznym i przekonującym rysunkiem postaci. Znów jednak mam wątpliwości, czy dzieci zrozumiały grozę pojedynku Cesarza ze Śmiercią, przerwanego olśniewającą pieśnią tytułowego ptaka, czy doceniły wyższość „prawdziwego” Słowika kreowanego przez smukłą baletnicę nad Słowikiem mechanicznym, który odstawił znacznie ciekawszy (także z mojego punktu widzenia) pokaz tańca hiphopowego z elementami capoeiry.

Zalety obydwu członów spektaklu mogli jednak docenić tylko ci z młodszych widzów, którym wystarczyła magia teatru. Bo warstwa tekstowa i tak by do nich nie przemówiła. *Dziecko i czary* wystawiono w oryginalnej wersji językowej: rodzice ze zrozumiałych względów już po kilku minutach zrezygnowali z czytania dzieciom napisów. Niewiele lepiej poszło z zaśpiewanym po polsku *Słowikiem*: soliści popisali się tak skandaliczną dykcją, że miałam kłopot z rozpoznaniem ojczyściej mowy, nie wspo-

minając już o rozróżnieniu poszczególnych słów. Te zresztą – gdyby dotarły do widowni – niewiele by wniosły do obrazu całości, bo nieudolny przekład przypominał fragmentami osławione libretto *Króla Rogera* („To z niebios duch przemawia głosem ptaków tym”).

Ze stroną muzyczną bywało różnie. Orkiestra pod batutą Grzegorza Wierusa nie zawsze umiała podkreślić smaczki przebogatej partytury Ravela, przegapiła też wyrafinowaną grę kontrastów w muzyce Strawińskiego. Z solistów najlepiej spisała się Katarzyna Włodarczyk w roli Dziecka. Obdarzona pięknym sopranem Małgorzata Olejniczak-Worobiej powinna jeszcze popracować nad emisją oraz wyrazistszą koloraturą – muszę jednak zaznaczyć, że partia Słowika jest jedną z najtrudniejszych w tej kategorii w całej literaturze operowej.

Sukces połowiczny? I to dosłownie. Na miejscu poznańskiego Teatru Wielkiego odłożyłabym na pewien czas do lamusa mniej udane *Dziecko i czary* i skupiła się tylko na *Słowiku*. Oszlifowany i dopieszczony, może okazać się całkiem atrakcyjnym przedstawieniem, i to dla widzów w każdym wieku. ■

Teatr Wielki w Poznaniu
Dziecko i czary Maurice'a Ravela / *Słowik* Igora Strawińskiego
reżyseria i choreografa
Ran Arthur Braun
premiera 25 października 2014



Słowik, reż. Ran Arthur Braun, Teatr Wielki w Poznaniu